łomyczek DWUTYGODNIK DLA DZIECI 1-15.XI.87 21

ot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

— To nie ja, to chyba meteor!

— Mamo, to nie jest bałagan! Bałagan to ja widziałem wczoraj u mojego kolegi, Wojtka...

— Wiesz, odkryłem zadziwiające zjawisko — godzina lekcyjna jest o wiele dłuższa od wakacyjnej!

A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE!

NAJBARDZIEJ zatłoczona na świecie droga powietrzna znajduje się w Japonii, pomiędzy Tokio a Sapporo, gdzie przewozi się samolotami 4,5 mln pasażerów rocznie. Druga taka zatłoczona trasa jest między Nowym Jorkiem a Bostonem. Rocznie przebywa tę trasę 4,1 mln osób.

●

NAJDŁUŻSZY pociąg o napędzie spalinowo-elektrycznym, składający się z 217 wagonów towarowych, o łącznej długości 2,8 km i o ciężarze 22 tys. ton, kursuje codziennie na szlaku długości 616 km w Mauretanii. Przewozi on do portu rudę żelazną z wielkich kopalni, a po drodze zaopatruje w wodę miejscową ludność.

●

NA OCEANIE Atlantyckim, koło brzegów amerykańskiego stanu New Jersey, rozpoczęto kładzenie pierwszego podmorskiego kabla telefonicznego z włókna szklanego. Kablem tym można będzie przesyłać do Europy 40 tys. rozmów równocześnie. W 1983 r. położono podmorski kabel miedziany, za pomocą którego można prowadzić 9 tys. rozmów równocześnie.

PO DROGACH całego świata jeździ obecnie około 370 mln samochodów. Jest to siedem razy więcej niż w 1950 r.

Porównując liczbę samochodów do liczby mieszkańców spostrzegamy, że od lat pierwsze miejsce mają Stany Zjednoczone. Wypada tam 472 pojazdów na tysiąc osób, drugie miejsce Kanada — 450 pojazdów , a trzecie Australia. Dalsze miejsca zajmują RFN, Szwajcaria, Francja, Włochy, Szwecja i Wielka Brytania.

●

POD ULICAMI centralnych dzielnic wielkich miast Japonii powstają coraz liczniejsze „podziemne miasta" stanowiące ciągi handlowych pasaży, sięgających nieraz kilka pięter w dół. Pierwsze takie podziemne miasto zbudowano w 1957 r. w Osace. Zajęło ono obszar 127 tys. m kw. Setki sklepów, restauracji, kawiarni, punktów usługowych ściągają tutaj mieszkańców nie tylko po zakupy, lecz również dla odpoczynku w ciekawych architektonicznie, dobrze klimatyzowanych wnętrzach, wolnych od ulicznego huku, spalin samochodowych i kaprysów pogody.

Nasza okładka:

O papużkach falistych przeczytać możecie na str. 24—26

Wiersze jedenastoletniej
EKI BARKADZE
z Gruzji

ODPOWIEDŹ NA PYTANIE:

Wnusiu, czyżbyś to ty pisała wiersze?

Wiersze?
Piszę, dziadziuniu...
Jeśli zrymowane sny
Można nazwać
Wierszami.

WRÓBLA ORKIESTRA

Znowu mnie ukarano
Za opuszczoną
Lekcję muzyki:
Któż bowiem uwierzy,
Że całą godzinę
Słuchałam wróblej orkiestry?

Muzykanci,
Podskakując na drutach,
Pisali w powietrzu
Nuty.

Z rosyjskiego przełożył Florian Nieuważny
Rys. Wiesław Majchrzak

ZAPASY

Zdarzyło się w moim życiu — nie pamiętam już dokładnie, w jakich okolicznościach — że całkiem niespodziewanie dostałem kompletnego bzika na punkcie zapasów. Chodziłem wtedy do czwartej klasy. Miałem kolegę, nazywał się Kim Olszański i znany był ze swojej tężyzny fizycznej. Ale odkąd zafascynowały mnie zapasy, przyjaźń z Kimem straciła dla mnie wszelki urok. Wystarczyło spojrzeć na Kima, żeby zrozumieć, że gdyby doszło co do czego, położyłby mnie bez trudu na łopatki. Walka z nim nie miałaby najmniejszego sensu.

A przecież było nam kiedyś dobrze razem i chętnie pozwalałem mu dyrygować sobą. Wycinaliśmy obrazki z książek i czasopism, żeby wklejać je później do zeszytów. Czystych zeszytów zawsze nam brakowało, dlatego też zdobiliśmy obrazkami zeszyty szkolne — do rosyjskiego i matematyki. Ale wszystko to było dawniej, zanim owładnęła mną nowa pasja. W momencie, gdy poczułem zapał do walki, zrozumiałem, że przyjaźń z Kimem już się skończyła.

Miałem jeszcze jednego kolegę. Nazywał się Ratmir Lach. Siedzieliśmy w jednej ławce, dopóki nie rozdzielono nas za ustawiczne chichoty. Śmialiśmy się na lekcjach bez przerwy.

Ojciec tego Ratmira Lacha był znanym człowiekiem: za młodych lat uciekł z carskiego więzienia.

Ratmir okazał się świetnym kolegą. Lubiłem bywać u niego w domu, siedzieć przy stole obok wybitnego ojca, jeść pyszne wschodnie słodycze i popijać mocną, parującą herbatę z dziwnej filiżanki bez ucha. Czas upływał nam z Ratmirem na samych przyjemnościach: oglądaliśmy straszne obrazki w książkach medycznych jego matki, graliśmy w szachy, w fanty... Ale to wszystko też było dawniej, przed zapasami. Odkąd zaczęły się zapasy, przyjaźń z Ratmirem nabrała posmaku nudy: był mały jak siedmiolatek z pierwszej klasy. Kładłem go jedną ręką obawiając się przy tym, żeby mu czegoś nie uszkodzić.

No, i wreszcie trzecim, najlepszym w tym okresie moim kolegą był Waldek, Waldemar. Każde nasze spotkanie oznaczało rozpoczęcie natychmiastowej walki. Obaj niezdarni, nieporadni, sapaliśmy robiąc niemiło-

sierny hałas. Jeśli walka odbywała się w mieszkaniu, wokół nas przewracały się meble. I nikt w tych zapasach nie zwyciężał. Szanse mieliśmy wyrównane.

Kiedy Waldek przychodził do mnie, walczyliśmy u nas. Kiedy ja przychodziłem do niego, walczyliśmy u nich. Walczyliśmy na krzesłach, pod stołem, na korytarzu, w łazience. Walczyliśmy w Ogrodzie Aleksandrowskim, na trawie, dopóki nie wyrzucił nas stamtąd stróż z gwizdkiem. Walczyliśmy na asfalcie, w śniegu, w piasku. Walczyliśmy w tramwaju, ale tam przeszkadzali nam ludzie. Walczyliśmy w holu muzealnym Ermitażu, gdy nauczycielka historii przyprowadziła nas do muzeum, żeby pokazać, co się działo przed naszą erą. Walczyliśmy w ławce szkolnej, dopóki nas nie rozdzielono. Ja wylądowałem obok Ratmira, Waldek — w jednej ławce z dziewczynką. Na imię miała Natasza, ale teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Inni chłopcy grali w piłkę nożną, w szachy, w palanta. My z Waldkiem tylko walczyliśmy, i to nam w zupełności wystarczało. W krótkich przerwach między walkami rozmawialiśmy o słynnych zapaśnikach, wy-

śmiewaliśmy nawzajem swoje niezdarne chwyty, marzyliśmy o przyszłych zwycięstwach... A poza tym w przerwach musieliśmy dużo jeść, żeby nabrać sił do nowej walki. Walcząc zniszczyliśmy mnóstwo różnych rzeczy.

Domownicy nie pochwalali naszych walk i rozdzielali nas z byle powodu, uznając nasze zapasy za zwykłe awantury.

Tak wyglądała nasza przyjaźń — walczyliśmy bez żadnych sprzeczek, nie tak jak inni, i nikt nikogo nie pokonywał, zawsze wypadał remis. Budziliśmy się codziennie z myślą: „Walczymy dziś!" Co wieczór zasypialiśmy z nadzieją: „Jutro znowu!" Była to piękna przyjaźń. Do dziś wspominam ją z rozrzewnieniem, z przysłowiową łezką w oku. Widzę dywan w pokoju Waldka, widzę nas obu tarzających się po dywanie, i jeszcze widzę jedno jego oko, tak niepodobne do drugiego — nie pamiętam już teraz, prawe czy lewe, a zresztą to nieważne. Ważne jest co innego: to właśnie oko miało odcień zielonkawy, drugie natomiast było po prostu piwne. W czasie walki to zielone oko pozostawało dziwnie obojętne. Waldek zmagał się ze mną, walczyły jego ręce, nogi, całe ciało, i tylko to oko nie brało udziału w walce.

Żaden z nas nie robił uników, nie kantował, nie poddawał się dla zmylenia przeciwnika. Walczyliśmy uczciwie i kiedy ten, którego opuszczały siły, wołał ochryple: „Dość!" — drugi natychmiast zwalniał chwyt.

Tak trwała nasza przyjaźń i nasza nieustająca walka, dopóki nie wybuchła wojna. A kiedy wybuchła, wszystko uległo zmianie. Całe nasze życie.

Waldek został ewakuowany i wyjechał gdzieś na Syberię. Ja zostałem w Leningradzie. Potem była blokada, głód...

Pod koniec wojny Waldek powrócił. Spotkałem go przed szkołą. Obaj osłupieliśmy — i nie bez powodu. Zmieniliśmy się tak bardzo! Minęły przecież aż trzy lata...

Wiecie, kto przede mną stał? Stał przede mną olbrzym, przystojny atleta z miękką, ukośną grzywką, w bluzie z grubym żółtym pasem. Kołnierz bluzy był rozpięty, pod spodem widniała wypłowiała marynarska koszulka. Ściągnięty pasem szczupły stan zdawał się aż poskrzypywać, a jak wygodnie, jak luźno było nogom w prawdziwych marynarskich kloszowych spodniach!

A teraz wyobraźcie sobie, kto stał przed nim: żywy szkielet, kościotrupek, strach na wróble! Ja też miałem na sobie bluzę brata, ale gdybyście tylko widzieli, jak zwisała z moich kościstych ramion! A nogi... Nogi moje opinała słynna „pomoc amerykańska" z zamkiem błyskawicznym przy rozporku. „Pomoc amerykańska" była za wąska i za krótka, te portki sięgały mi zaledwie do połowy łydek.

Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję: „pomoc amerykańska" była to używana, ale jeszcze dostatecznie mocna odzież, którą w czasie wojny przysyłano nam ze Stanów. Trafiały się czasem rzeczy świetne. Jeden chłopak z naszej szkoły dostał skórzaną kurtkę na flanelowej podszewce. Podszewka była odpinana. Ten chłopak i jego brat nosili na zmianę — jeden kurtkę, drugi podszewkę.

...Waldek, Waldemar...

Oto stoi przede mną i z ironicznym uśmiechem patrzy na moje portki. A ja patrzę na niego. Nie mogę uwierzyć, że człowiek potrafi aż tak się zmienić. Waldek zadaje mi jakieś pytania, ja odpowiadam.

— Jest Kim Olszański?

— Jest.

— A Natasza?

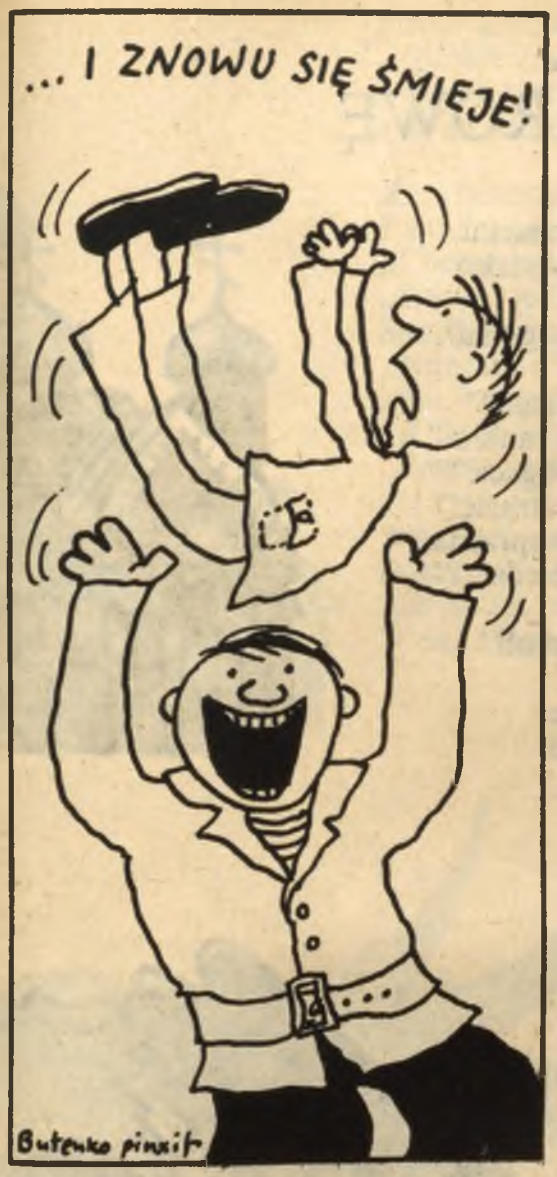

— Wróciła.

— Ratmir też?

— Nie.

Odpowiadam i myślę zupełnie o czym innym. Myślę sobie: „Gdyby teraz doszło między nami do walki, położyłby mnie od razu na łopatki. Nie dla niego taka zabawa. Nawet zaczynać nie musi, wystarczy, że na mnie popatrzy i zrobi to w myślach..."

Pytam:

— Pamiętasz Wowkę?

I myślę sobie: „Pamiętasz przynajmniej tamte nasze zapasy?" On mówi:

— Wowkę? Którego? Siemionowa czy Kuźmina?

Racja, było dwóch. Pamięta. A więc musi pamiętać zapasy. I myśli sobie pewnie: „Wystarczy dmuchnąć, żeby się taki przewrócił".

Mówię:

— No, to na razie...

On też mówi:

— Na razie...

Rozumiem: jeżeli rozejdziemy się teraz — koniec. I bez tego jesteśmy sobie prawie obcy. Ponad trzy lata minęły. I Waldek tak urósł...

Przemogłem się, przestałem myśleć o swoim ubraniu, o całej reszcie i zawołałem:

— Waldek!

Drgnął. Zająłem pozycję wyjściową: prawa noga do przodu, lewa do tyłu, odstawiona trochę na bok. Ręce przed sobą. Wybieram moment.

— Dalej! — krzyczy Waldek. — Hop!

...Nic nie rozumiem: zawisłem w powietrzu, widzę niebo, korony drzew, ukośną ścianę szkoły i roześmianą gębę Waldka nad sobą. Pomyślcie tylko: on wziął mnie na ręce! Śmieje się! Śmieje się i podrzuca mnie do góry! Łapie mnie i znowu się śmieje!

— Idź do diabła!

Śmieje się nadal. Nie śmieje się tylko tamto oko — zielone. Zielone oko pozostaje smutne.

— Waldek, puść!

Waldek stawia mnie na ziemi. Wyciąga dłoń. Uśmiech na twarzy — od ucha do ucha. Jakiż byłem kretyn, że myślałem o nim źle! Waldek pyta:

— Z kim siedzisz w ławce?

— Z takim jednym chłopakiem.

— Powiedz mu, żeby zjeżdżał.

— Nie posłucha.

— Położę go na łopatki — zapewnia Waldek. — Chodź.

Aleksander Krestinski
Z rosyjskiego przełożyła Alla Sarachanowa
Rys. Bohdan Butenko

JAK STARUSZEK SPRZEDAWAŁ KROWĘ

Staruszek chciał krowę sprzedać na jarmarku,
Lecz chociaż się starał, to szło mu nieszparko
I chociaż niejeden oborę miał pustą,
Żaden kupić nie chciał. Czyżby kwestia gustu?...

„Czy to, gospodarzu, krowa do sprzedania?"
„A pewnie. Toć przecież z nią stoję od rana!..."
„I nie chcesz za bardzo się na niej wzbogacić?"
„A gdzie tam, a gdzie tam. Byleby nie stracić!"
„Chudzina, więc pewnie dlatego chcesz sprzedać!"
„Choruje, przeklęta, prawdziwa z nią bieda!..."
„A ile ta krowa daje dziennie mleka?"
„I kropli ci nie da, choćbyś miesiąc czekał!"

Dzień cały staruszek spędził na bazarze,
Kupiec się, niestety, żaden nie nadarzył.

Aż go pożałował jakiś sprytny chłopak:
„Ojczulku — powiada — handlujesz na opak!
Ja teraz postoję przy twojej krowinie
i targu dobiję, nim chwila upłynie!"

Z wypchanym portfelem pojawia się człowiek
I z chłopcem zaczyna przetargi handlowe:
„Chcesz krowę tę sprzedać?"
„Kupuj, jeśliś bogacz!
Sam popatrz, to przecież jest skarb, a nie krowa!"
„Naprawdę? Wygląda, że resztką sił stoi!"
„Nie bardzo jest tłusta, lecz dużo udoisz!..."
„A ile ta krowa daje dziennie mleka?"
„Przez dzień nie wydoisz. Istna mleczna rzeka..."

Staruszek zaś słysząc powyższą rozmowę
Pomyślał: „Dlaczego chcę sprzedać tę krowę?
Jest dobra, więc po co oddawać mam komuś?"
Wziął krowę na łańcuch i wrócił do domu.

Siergiej Michałkow
Z rosyjskiego przełożył Marek Wawrzkiewicz
Rys. Jerzy Flisak

pilna wiadomość:

W LIMPOPO PRZEZ TELEFON SKRADZIONO SŁOŃCE

Korniej Czukowski

LIMPOPO

Dobry doktor Ojboli
Siedzi w cieniu topoli.
Przyjdź do pana doktora,
Krowo, jeżeliś chora,
Przyjdźcie, niedźwiedzie, wilczyce,
Na pewno się wyleczycie,
Przyjdźcie, lwy, krokodyle,
Ptaki, węże, motyle.
Doktor leczy wszystkie zwierzęta,
O najmniejszym robaczku pamięta
I każdego wyleczy powoli
Dobry doktor Ojboli! (...)

TELEFON

Mój telefon znowu dzwoni.
— Halo! Kto przy telefonie?
— Słoń.
— Czego pan sobie życzy?
— Czekolady i słodyczy.
— Dla kogo?
— Dla mego synka.
Wystarczy nieduża skrzynka:
Sto kilo, najwyżej dwieście,
Więcej w brzuszku nie pomieści.
To jeszcze takie maleństwo! (...)

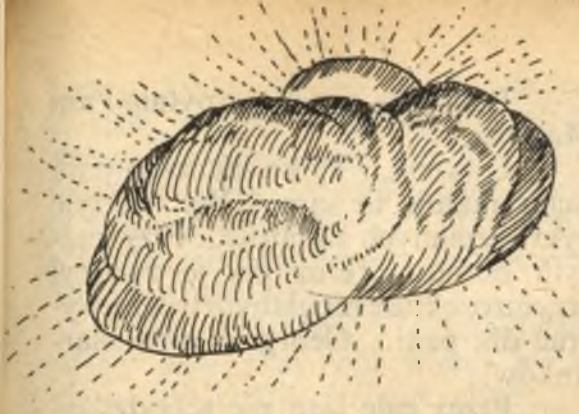

SKRADZIONE SŁOŃCE

Słońce tak się wzbiło w górę,
Że ukryło się za chmurę.
Wyjrzał zając przez okienko,
Nie zobaczył nic po ciemku.

A świerszczyki
Pędzą z krzykiem.
Z gazetami
Pod pachami:
Zła nowina! Ciemny świat,
Bo krokodyl słońce zjadł! (...)

Fragmenty wierszy **Kornieja Czukowskiego**
Przełożył **Władysław Broniewski**

MOJA PRZYGODA Z KORNIEJEM CZUKOWSKIM

O Kornieju Czukowskim usłyszałem po raz pierwszy podczas studiów na zajęciach praktycznych z języka rosyjskiego. Wykładowczyni powiedziała wtedy: „Nie wyobrażam sobie filologa nie znającego książki Kornieja Czukowskiego „Od dwóch do pięciu".

Oczywiście, natychmiast pobiegłem do biblioteki i jeszcze w drodze zacząłem czytać. Pochłonęła mnie ta książka zupełnie i zmusiła do poznania życia i twórczości jej autora — poety, krytyka, uczonego. Skąd mogłem wiedzieć, że każde dziecko w Związku Radzieckiem mówiące po rosyjsku zna „Dziadzię Czukowskiego" i że swoją edukację zaczyna od wiersza:

Muszka, Muszka Złotobrzuszka
Na cieniutkich sześciu nóżkach!

Nie mogłem oderwać się od książki, która w pierwszym rozdziale „Na każdym kroku" zaczyna się tak:

„Spacerowaliśmy z Lalą brzegiem morza. Dziewczynka po raz pierwszy w życiu zobaczyła z daleka statek parowy.

— Mamusiu, lokomotywa się kąpie! — wykrzyknęła zdumiona."

Ta mądra i równocześnie wesoła książka zachęciła mnie do przeczytania potoczystych, dowcipnych i pomysłowych wierszy-opowieści Czukowskiego — „Limpopo", „Krokodyl", „Karaluszysko", „Telefon" czy „Skradzione słońce", gdzie wszystko odbywa się w szybkim tempie, gdzie rozgrywają się ważne wydarzenia, które kończą się szczęśliwie dzięki odwadze, wynalazczości i mądrości bohaterów.

W potocznym języku rosyjskim do dziś spotkać można powiedzonka z tych skrzących się dowcipem i niezwykłością wierszy. Kiedy idzie nam coś z trudem i opornie, wówczas aż chce się powiedzieć tak jak Czukowski: „Oj, ciężka to robota pana Hipcia wyciągać z błota!", kiedy coś kończy się nieoczekiwanie, chciałoby się powtórzyć: „Ot, hałasu małowiele, spaliły się karuzele!"

Florian Nieuważny

PANI MALARKA

Tuż przed początkiem roku szkolnego Jadźka zachorowała na odrę. Nie miał kto nosić mleka Pani Malarce. Inka z własnej ochoty ofiarowała się zastąpić przyjaciółkę. Prawdę mówiąc, od dawna już ta dziwna pani z Krakowa i jej dom na Siodełku bardzo Inkę ciekawiły.

Tatuś niechętnie przystał na tę posługę, lecz mama rada była, że Inka w czymś komuś pomoże. Nic jej nie zaszkodzi, że przed pójściem do szkoły wbiegnie sobie na górkę. Ranki z siwym przymrozkiem wciąż jeszcze były słoneczne, pachnące zwarzonymi liśćmi.

Co ranka więc Inka wspinała się przez las i zdziczały sad aż do werandy, pukała do drzwi sporządzonych z grubej, pociemniałej deski.

— To ty, Inko? — odzywała się Pani Malarka, zanim obróciła klucz w zamku.

— To ja. Z mlekiem. Dzień dobry!

— Dzień dobry! Och, jak pięknie!

Pani Malarka wychodziła na werandę, spoglądała na różowiejące Tatry. — Masz tu cukierek.

Inka dziękowała grzecznie, chowała cukierek do kieszonki. Nie lubiła takich karmelków. Ale nie chciała sprawić pani przykrości odmową.

Któregoś dnia Marysia spóźniła się z udojem, tak że Inka przyniosła mleko dopiero po powrocie ze szkoły.

— Myślałam, że już dziś nie przyjdziesz — powiedziała Pani Malarka. — Cieszę się, że cię widzę. Chcesz zajść do mnie? Pokażę ci swoje obrazy.

Przez sionkę weszły do obszernego pokoju z wielkim, bielonym kominkiem. Pod ścianami stało mnóstwo obrazów. Prawie wszystkie przedstawiały kwiaty. Zwyczajne, polne kwiaty.

— Podobają ci się? — spytała Pani Malarka.

— Owszem... Tylko dlaczego pani wciąż maluje to samo? We wsi tyle było rozmaitych kwiatów... Przy każdym domu... Teraz już je zwarzył przymrozek, ale mogłabym trochę wybrać dla pani... Georginii albo marcinków...

— Przez całe lato nie schodziłam do wsi... Ciężko mi wspinać się pod górę. Jestem już stara, muszę poprzestać na tym, co dla mnie dostępne...

Rzeczywiście, wyglądała bardzo staro, zwłaszcza że nie dbała o siebie, siwe włosy byle jak zwijała w węzeł na karku, niesforne kosmyki wymykały się z niego i sterczały dookoła twarzy, całej w zmarszczkach i brzydkich, brunatnych plamach. Twarz ta nie budziła sympatii. Dopiero gdy pojawiał się na niej nikły uśmiech, a wyblakłe oczy nagle nabierały blasku, można było nawet ją polubić. Nie patrzyło się na szkody, jakie czas wyrządził tej niegdyś zapewne pięknej kobiecie, ale chciało się wziąć ją za rękę i powiedzieć jej coś miłego. Tylko co?

— Ładnie tu u pani... — szepnęła Inka.

— Posiedź jeszcze trochę... Pokażę ci moje albumy. Lubisz oglądać reprodukcje sławnych obrazów?

— Lubię — stwierdziła Inka, pewna, że będzie to przyjemne.

Pani Malarka poprawiła na sobie turecką chustę, jaką stare góralki okrywają się idąc na mszę niedzielną, i podeszła do wysokiej, masywnej szafy. Były w niej same książki. Wyjęła kilka z nich, położyła na stole pod oknem, przez które widać było Tatry.

— Usiądź tutaj i obejrzyj...

Usunęła się na bok, żeby nie przeszkadzać dziewczynce, nie krępować swoją obecnością. Inka była jej za to wdzięczna. Nie musiała wyrażać swego zdania, silić się na rozmowę. Po chwili ilustracje pochłonęły ją bez

reszty. Jakby weszła w inny świat. Z kart książki wyłaniały się krajobrazy najdziwniejsze, postacie osobliwe, kwiaty ułożone wymyślnie w ogromnych wazonach. Na płatku róży siedział jakiś żuczek, na opadłym liściu czerwieniła się rdza.

— Pani też mogłaby tak malować, gdyby pani przynieść więcej kwiatów — stwierdziła Inka po chwili. — Mama urządziła konkurs, aż kipiało w ogródkach...

— Szkoda, że nie wiedziałam. Teraz już za późno...

Zdawało się Ince, że to stwierdzenie odnosi się nie tylko do konkursu czy pory roku, ale do życia tej kobiety. Więc tym goręcej zaprotestowała:

— Ależ nie! Przekona się pani...

— Teraz już nikt nie maluje w taki sposób. To Holendrzy przed paroma wiekami lubowali się w takich bukietach... Kochali życie we wszelkich jego przejawach, cenili bujność, obfitość. My poprzestajemy na małym...

— Nie wszyscy.

— Masz słuszność. Nie wszyscy.

Stojący w drewnianym pudle zegar wydzwonił godzinę trzecią. Inka zerwała się spłoszona.

— Muszę wracać do domu. Jutro przyjdę... Też po lekcjach, dobrze?

— Jak chcesz...

Od tej pory Inka dzień w dzień przesiadywała u Pani Malarki, oglądała albumy, słuchała gry na pianinie. Wprawdzie stara kobieta nie grała zbyt wprawnie, lecz i tak ta żywa muzyka dostarczała dziewczynce więcej wzruszeń niż słuchanie płyt czy radia. Wracała do domu już o zmroku jakby przeistoczona, owładnięta urokiem malowideł i melodii. Przynosiła ostatnie kwiaty i patrzyła ze zdumieniem, jak Pani Malarka przywraca im urodę na swoich obrazach. Urodę osobliwą, bo płynącą z przekwitania, ze śmierci.

Inka, patrząc na nie, odczuwała i podziw, i smutek, świat jej doznań rozszerzał się z każdym dniem.

Aż któregoś popołudnia Pani Malarka powiedziała przy pożegnaniu:

— Nie przynoś jutro mleka... Raniuteńko przyjadą po mnie z Krakowa. Zamkniemy dom...

— Ale za rok pani przyjedzie?

— Jeśli dożyję...

— Och, na pewno! Umyślnie dla pani zasadzimy tyle kwiatów! — rozpostarła ręce szeroko, jakby chciała nimi cały świat ogarnąć. I nagle opuściła je bezradnie, bo w oczach starej kobiety dostrzegła łzy. Przypadła jej do kolan, wtuliła twarz w końce tureckiej chusty i objęła w pół rękami. Pociemniało już w pokoju i szafkowy zegar tykał bardzo głośno.

Danuta Bieńkowska
Rys. Artur Gołębiowski

(Fragment z książki pt. „Świetny pomysł". Powieść zostanie wydana przez I.W. „Nasza Księgarnia").

ASTRID LINDGREN

opowiada o sobie

Zacznijmy zatem od mojego życiorysu, ponieważ zwykliście o to pytać. A więc od początku: listopad 1907 roku. Właśnie wtedy się urodziłam, w czerwonym starym domu otoczonym jabłoniami. Jako dziecko numer dwa rolnika Samuela Augusta Ericssona i jego żony Hanny z domu Jonsson. Posiadłość, w której mieszkaliśmy, nazywała się — i ciągle jeszcze nazywa się — Näs, leży zaś w pobliżu Vimmerby, małego miasteczka w Smolandii. Näs było probostwem już od 1411 roku i jest nim do tej pory, ale mój ojciec z całą pewnością nie był proboszczem, tylko dzierżawcą gospodarstwa proboszcza w Näs, tak samo jak jego ojciec przed nim i jego syn po nim.

●

W czerwonym domu, który w XVIII wieku był domem plebana, a z czasem stał się mieszkaniem dzierżawcy, urodziło się jeszcze dwoje dzieci. Było nas zatem czworo rodzeństwa: Gunnar, Astrid, Stina i Ingegerd, i żyliśmy w Näs beztroskim życiem Bullerbyn, w zasadzie zupełnie jak w książce o dzieciach z Bullerbyn. Chodziliśmy do szkoły w Vimmerby, które leżało tak blisko, że mogliśmy tam dojść w kwadrans. Ale, podobnie jak dzieci z Bullerbyn, powoli staliśmy się dorośli i nastał czas, aby ruszyć w świat. Ja wyjechałam do Sztokholmu, gdzie wykształciłam się na sekretarkę, dostałam posadę w biurze, wyszłam za mąż i urodziłam dwoje dzieci, Larsa i Karin. Oboje stale domagali się, żeby im coś opowiadać. Opowiadałam więc. Ale nie pisałam żadnych książek, nie, ponieważ już wcześniej postanowiłam, że nie będę tego robić. (...)

W 1941 roku moja siedmioletnia córeczka Karin leżała chora na zapalenie płuc. Każdego wieczora, kiedy siadałam na brzegu łóżka, marudziła jak to zwykle dzieci: „Opowiedz mi coś". Pewnego razu, kiedy porządnie zmęczona zapytałam: „O czym mam opowiadać?", odparła: „Opowiedz o Pippi Långstrump". Wymyśliła imię właśnie w tej sekundzie. Nie zapytałam, kim była Pippi Långstrump (Fizia Pończoszanka), tylko zaczęłam opowiadać, a ponieważ było to dziwne imię, więc musiała to być także dziwna dziewczynka. Karin, a potem także jej koledzy i koleżanki, od początku zapałali niezwykłym uczuciem do Pippi. Musiałam więc opowiadać ciągle od nowa. I tak trwało to kilka lat. Pewnego marcowego dnia 1944 roku w Sztokholmie padał śnieg i gdy wieczorem przechodziłam obok Parku Wazy, świeży puch przykrył warstwę lodu. Pośliznęłam się, upadłam i silnie zwichnęłam sobie nogę. Potem musiałam leżeć jakiś czas w łóżku. Żeby skrócić sobie ten okres, wzięłam się do stenografowania historii o Pippi (odkąd zaczęłam pracę w biurze, biegle stenografowałam i do dziś wszystkie moje książki najpierw stenografuję). W maju 1944 roku przypadały dziesiąte urodziny Karin i wtedy wpadłam na pomysł, żeby przepisać na czysto opowieści o Pippi i w prezencie urodzinowym dać jej maszynopis. A potem pomyślałam sobie, że kopię wyślę do jakiegoś wydawnictwa. Nie dlatego, żebym przez sekundę wierzyła, aby chcieli to wydać, ale ot tak, na wszelki wypadek. Sama byłam podniecona sprawą Pippi i pamiętam, że zakończyłam swój list do wydawnictwa słowami: „W nadziei, że nie zaalarmujecie Urzędu Opieki Społecznej nad Nieletniemi..." No, bo miałam przecież dwoje dzieci, a co to może być za matka, która pisze takie książki!

Astrid Lindgren z tłumaczką Anną Węgleńską

Dokładnie jak przewidziałam, maszynopis odesłano mi. Ale w czasie, gdy czekałam na odpowiedź, zdążyłam napisać jeszcze jedną książkę. Bo teraz zobaczyłam, jaką przyjemnością jest pisanie. Napisałam powieść pt. „Zwierzenia Britt-Mari" i wysłałam ją do wydawnictwa Rabén i Sjögren, które ogłosiło konkurs na książkę dla dziewcząt. I tu wydarzyła się najdziwniejsza rzecz! W konkursie tym otrzymałam drugą nagrodę. Nigdy nie byłam bardziej rada niż tego jesiennego wieczoru 1944 roku, kiedy zawiadomiono mnie o tym. Następnego roku, 1945, to samo wydawnictwo ogłosiło konkurs na książkę dla dzieci. Wysłałam maszynopis o Pippi w troszkę zmienionym kształcie. I otrzymałam za nią pierwszą nagrodę. (...)

•

W 1946 roku wydawnictwo Rabén i Sjögren ogłosiło nowy konkurs — na książkę detektywistyczną dla młodzieży. Wtedy napisałam powieść „Detektyw Blomkvist", za którą przyznano mi pierwszą nagrodę. I to był ostatni konkurs, w jakim wzięłam udział. Ale pisałam nadal. I tak powstało ponad 30 książek, poza tym wiele książek obrazkowych i kilka sztuk teatralnych, a także scenariusze do filmów, seriale radiowe i telewizyjne. W latach 1946—1970 prowadziłam redakcję literatury dla dzieci w wydawnictwie Rabén i Sjögren. Od 1952 roku jestem wdową. Moja córka wyszła za mąż, syn się ożenił, a ja mam siedmioro wnucząt. Tak, o wszystkim tym chcecie zwykle wiedzieć. (...)

•

Nie wiem, jaka powinna być dobra książka dla dzieci. Dlaczego nikt nigdy nie pyta, jaka powinna być dobra książka dla dorosłych? Kiedy piszę, próbuję być „prawdziwa" w sensie artystycznym i to jest moja jedyna wytyczna. „Dlaczego nigdy nie napiszesz żadnej książki o tym, jak to jest być dzieckiem rozwiedzionych rodziców, np. w sztokholmskiej dzielnicy Farsta?" — zadano mi kiedyś i takie pytanie. I na to chcę odpowiedzieć: Mogę napisać tylko o tym, co znam. Ja nie wiem, jak to jest być dzieckiem rozwiedzionych rodziców w dzielnicy Farsta, być może właśnie teraz chodzi po Farscie jakiś maluch, który kiedyś o tym napisze. Sama wiem tylko bardzo dokładnie, jak to jest — albo raczej należałoby powiedzieć: jak to było — być chłopskim dzieckiem w Smolandii i dzieckiem w małym miasteczku. Dlatego większość moich książek „dzieje się" w takim środowisku. Dzieci z Bullerbyn, Emil ze Smolandii, Rasmus, dzieci z Sunnanäng żyją na najprawdziwej wsi. Pippi Långstrump, detektyw Blomkvist, Lotta z ulicy Awanturników, Madicken mieszkają w małym miasteczku. Dopiero kiedy około trzydziestu razy spędziłam lato na szkierach wokół Sztokholmu, odważyłam się napisać książkę o tych okolicach: „Dlaczego kąpiesz się w spodniach, wujku"? A znów „Karlsson z dachu" lata nad dzielnicą Vasastan w Sztokholmie. Ale to środowisko znam również dobrze, ponieważ mieszkałam tam prawie pięćdziesiąt lat. No, a „Mio, mój Mio" czy „Bracia Lwie Serce"? Czyżbym lepiej wiedziała, jak to jest w Krainie Dalekiej czy w Nangijali niż w Farscie? Odpowiadam: Tak, wiem. Ale skąd to wiem, nie powiem.

•

„Czy kiedy pani pisze, inspirują panią własne dzieci czy wnuki?" — to również częste pytanie. I na to odpowiadam. Nie istnieje żadne inne dziecko, które może mnie zainspirować, poza tym dzieckiem, którym sama niegdyś byłam. Do pisania książek dla dzieci wcale nie jest konieczne posiadanie własnych dzieci. Trzeba tylko samemu kiedyś być dzieckiem. I mniej więcej pamiętać, jak to było. (...)

Ze szwedzkiego przełożyła Anna Węgleńska
(Z posłowia do książki Astrid Lindgren — „Ronja, córka zbójnika")

Do
Pani Astrid Lindgren

Miło mi powiadomić, że bohaterka Pani książek, Pippi Långstrump (znana u nas jako Fizia Pończoszanka) jest zdrowa, silna, rezolutna i dobrze się czuje w Polsce.

Pojawiły się natomiast u nas inne dziewczynki, podobnie silne jak Pippi. Zupełnie nie boją się chłopaków. Od czasu do czasu, niespodzianie i serdecznie, potrafią posadzić Tatę na szafie. I zdarza się, że Tata nie umie zejść...

Bardzo Panią proszę: niech Pani szepnie Pippi na uszko, aby namówiła je do powrotu do dawnych, dobrych zajęć dziewczęcych:
— do robótek na drutach,
— do przygotowywania sałatek
— i podlewania kwiatków.

Serdecznie Panią pozdrawiam!
Tadeusz Chudy

Górale dziwnie siwieją — jak góry.
Najpierw pojawia się czapka śniegowa.
A później, później już cała głowa —
jak wyciosane w skałach świątyń mury.
Dusza rozbrzmiewa stuleci echami...
A konie krzeszą iskry podkowami...
Górale pięknie siwieją. Jak góry.

Lina Kostenko

CHŁOPCZYK W LUSTRZE

Chciałbym sobie usiąść w krześle.
Lecz nie w naszym starym krześle,
tylko w owym ślicznym krześle,
które stoi w naszym lustrze!

Chciałbym także pojeść kaszy.
Nie tej wstrętnej, nie tej naszej —
ale tej wspaniałej kaszy
w naszym lustrze!

Emma Moszkowska
Z rosyjskiego przełożył Florian Nieuważny

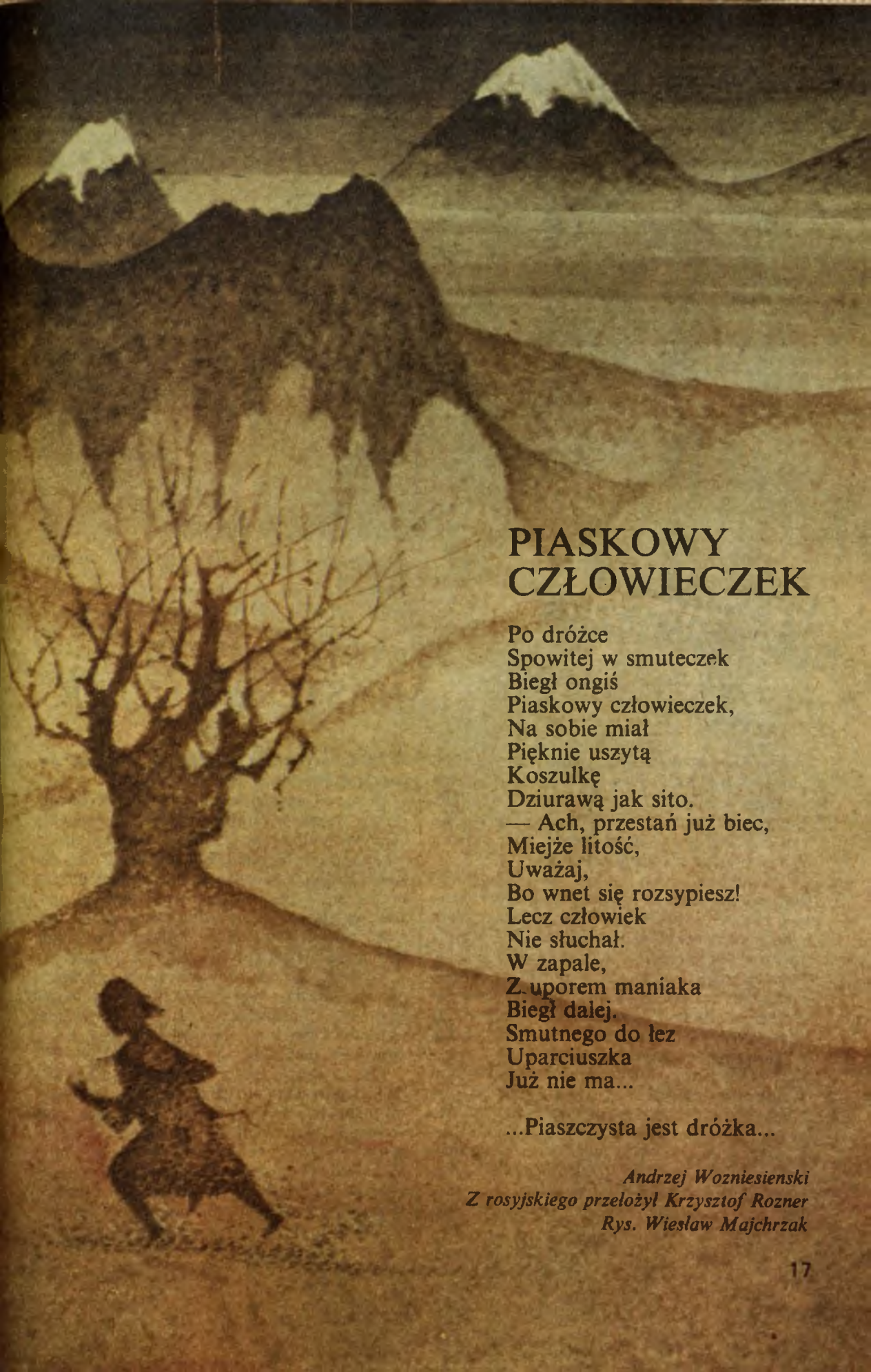

PIASKOWY CZŁOWIECZEK

Po dróżce
Spowitej w smuteczek
Biegł ongiś
Piaskowy człowieczek,
Na sobie miał
Pięknie uszytą
Koszulkę
Dziurawą jak sito.
— Ach, przestań już biec,
Miejże litość,
Uważaj,
Bo wnet się rozsypiesz!
Lecz człowiek
Nie słuchał.
W zapale,
Z uporem maniaka
Biegł dalej.
Smutnego do łez
Uparciuszka
Już nie ma...

...Piaszczysta jest dróżka...

Andrzej Wozniesienski
Z rosyjskiego przełożył Krzysztof Rozner
Rys. Wiesław Majchrzak

Leningrad — główna aleja Ogrodu Letniego

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Ze Związku Radzieckiego

MIASTO SZTUKI — „MIASTO BOHATER'

Stara jest historia Leningradu. W roku 1700 państwo rosyjskie było ogromne, ale bardzo zacofane. Wiedział o tym car Rosji Piotr Pierwszy. Uznał, że rozwój kraju możliwy jest tylko drogą „otwarcia na Europę". Miało temu służyć wyjście na Morze Bałtyckie.

W miejscu, gdzie rzeka Newa wpada do Bałtyku, na jednej z wysp, wbito pierwsze pale pod twierdzę-warownię. Zaraz potem zaczęto planować i rozbudowywać miasto. Budowali je zarówno architekci rosyjscy, wykorzystując tradycje ojczyste, jak i zapraszani przez cara — cudzoziemcy, wzbogacając je najlepszymi osiągnięciami znanymi z zachodniej Europy. Car Piotr Pierwszy zamieszkał w małym domku, zbudowanym w ciągu trzech dni, blisko twierdzy. Domek ten stoi do dzisiaj. Władca sam pilnował robót, naradzał się z budowniczymi i artystami, planował i szkicował. Port i miasto rozrastały się szybko i wspaniale. Usytuowano je na około stu wyspach, które połączono pięknymi mostami. Stolicę Rosji nazwano Petersburgiem, potem Piotrogrodem, a jeszcze później, w okresie Wielkiej Rewolucji Październikowej — Leningradem.

W 1917 r. wystrzał z krążownika „Aurora" dał początek Rewolucji Październikowej.

W ponad dwadzieścia lat później wybuchła druga wojna światowa. Wojska niemieckie całkowicie okrążają Leningrad i zamykają go w kleszczach oblężenia. 900 dni trwała blokada Leningradu. Żołnierze oraz mieszkańcy miasta bronią się z bezprzykładnym bohaterstwem, starając się ocalić nie tylko swoje życie, lecz i zabytki miejskie i dobra kultury. Po wojnie Leningrad otrzymał tytuł „Miasta Bohatera".

Wędruję teraz bulwarami nad Newą, która opasuje miasto i wije się jak wąż przecinając je w wielu miejscach, wędruję i podziwiam ogromne i wspaniałe budowle, dawne pałace, świątynie, pomniki.

Oto „Pałac Zimowy" rosyjskiego cara i siedziba jego dworu, oto „Ermitaż" — największe muzeum w ZSRR i jedno z największych w świecie. Trzy miliony eksponatów — dzieł sztuki z różnych epok i różnych stron świata! W galerii obrazów dzieła najstarszych malarzy rosyjskich, włoskich, holenderskich, francuskich — dawnych, jak również obrazy malarzy współczesnych z różnych krajów.

Obliczono, że aby zwiedzić około 400 sal, trzeba przejść 25 km, aby pobieżnie obejrzeć wszystkie eksponaty (1 minuta — jeden eksponat) potrzeba 15 lat, po 10 godzin dziennie.

Wchodzę do najstarszego parku w mieście, do „Ogrodu Letniego". Tutaj stoi pałac cara Piotra Pierwszego. Zdobią go rzeźby włoskich artystów, fontanny i przepyszna bogata roślinność.

A oto coś, co ciekawi mnie najbardziej. U brzegu Newy — „Jeździec Miedziany", pomnik Piotra Pierwszego na koniu, wykonany z miedzi. Lśni w słońcu; koń pędzi — dosłownie — na ogromnym placu, wysoko wznosząc przednie kopyta.

Wielki poeta rosyjski, Aleksander Puszkin, współczesny z naszym wieszczem, Adamem Mickiewiczem, napisał o tym pomniku piękny poemat.

„Jaka potęga w nim ukryta,
A w dumnym koniu jaki pęd!
Dokąd ty, koniu, gnasz bez pęt?
I gdzie opuścisz swe kopyta?"

Tak przetłumaczył strofę z tego poematu Julian Tuwim.

Kiedy wyjeżdżałem z Leningradu poszłam nad rzek, skąd roztacza się widok na kunsztownie podświetlone zabytkowe budowle, pomniki, fontanny. Wszystkie one świadczą o tym, że — sztuka może przeżyć burze wojen, oprzeć się czasowi, a także — przekraczać granice.

Helena Kujawska

Pomnik Piotra I

Ermitaż — jedna z sal

Obraz Picassa „Chłopiec z psem"

Popiersie młodego cezara

Obraz Caravaggio „Lutnista"

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

z pokładu samolotu

„LOT"-em bliżej...

TU-154M jest najnowszym samolotem, jakie zakupiły Polskie Linie Lotnicze „LOT". Jest bardzo duży — zabiera 164 pasażerów, a więc tylko o 4 mniej niż transatlantycki Ił-62M. Ma długość 47,9 m, wysokość 11,4 m, rozpiętość skrzydeł — 37,6 m, a podczas startu może ważyć do 90 000 kg. Napędzany jest trzema silnikami. Jego maksymalny zasięg wynosi około 6000 km, a prędkość 950 km/h. Może lecieć na wysokości do 12 000 m.

Samolotem kieruje 4-osobowa załoga: kapitan, drugi pilot, nawigator i inżynier pokładowy.

W dniu 10 czerwca br. dwóch reporterów z zaprzyjaźnionej z nami redakcji „Młody Technik" wsiadło na warszawskim lotnisku Okęcie do takiego właśnie samolotu. Miał ich zawieźć do Madrytu, odległego o około 3 tys. km od Warszawy. Lot miał trwać 3 godziny i 15 minut.

Trasa lotu wiodła przez Polskę (Łódź, Wrocław, Sudety), Czechosłowację (Praga), RFN (Norymberga), Szwajcarię (Zurich i Genewa), Francję (Lyon i Marsylia), by nad Pirenejami dolecieć do Hiszpanii.

Pasażerowie zasiedli w fotelach, zapięli pasy. Samolot pokołował na pas startowy, nabrał

1

1. Kabina samolotu jest bardzo ciasna, pełno w niej różnych przyrządów, zegarów itp. To stanowisko pracy inżyniera pokładowego, czuwającego nad prawidłową pracą silników i wszystkich instalacji w samolocie.

2. Podczas lotu stewardessy podają napoje, posiłki itp. Oto wnętrze kabiny pasażerskiej, a stewardessa niesie właśnie kawę...

3. W samolotowej „kuchni". Tu w specjalnych pojemnikach przechowuje się porcjowaną żywność, napoje, kawę, herbatę...

4. Nasz samolot na wysokości prawie 12 km przelatuje nad terytorium Szwajcarii. Z okien samolotu możemy podziwiać wspaniały krajobraz Alp — widzimy właśnie na zdjęciu masyw Mont Blanc, najwyższej góry Europy

3

prędkości i wystartował. Szybko nabierał wysokości. W Warszawie pogoda była paskudna: padał deszcz. Po kilku minutach lotu oświetliło nas jednak wspaniałe słońce, wyszliśmy bowiem z chmur. Stewardesy rozpoczęły swą pracę roznosząc napoje — my zaś udaliśmy się do kabiny pilotów. Samolotem kierował kapitan Krzysztof Lenartowicz — mistrz świata w lotnictwie sportowym. Kabina pilotów jest bardzo mała i ciasna. Pełno w niej różnych przyrządów, zegarów i innych urządzeń. Bez przerwy utrzymywana jest łączność z ziemią: stacje radiowe śledzą samolot, by zapewnić mu bezpieczeństwo. Stacje naziemne informują też o pogodzie i przekazują inne niezbędne dla załogi informacje. Samolotem kieruje pilot automatyczny — załoga jednak bez przerwy kontroluje przyrządy i przebieg lotu. Pytam kapitana o parametry lotu: wysokość wynosi 11 800 m, lecimy z prędkością 840 km/h. Nieco hamuje nas przeciwny wiatr.

4

Wracamy do kabiny pasażerskiej, gdzie otrzymujemy smaczny posiłek. „LOT" wyróżnia się wśród linii lotniczych na świecie dobrą jakością jedzenia i miłą obsługą. Spoglądamy przez okna samolotu. Zniknęły chmury — jesteśmy nad Szwajcarią. Widok jest fascynujący: lecimy wzdłuż pasma Alp. Dokładnie, jak na dłoni, widać ogromne masywy skalne, śnieg, lodowce, strumienie, doliny. Jesteśmy właśnie nad Genewą — z lewej strony widzimy najwyższą górę Europy — Mont Blanc (4810 m). Przelatujemy prawie 6 km nad jej wierzchołkiem...

Wlatujemy już nad terytorium Francji. Za chwilkę — nowe góry. To Pireneje, za nimi Hiszpania. Silniki zmieniają ton swej pracy, samolot zaczyna się obniżać. Za kilka minut wylądujemy na lotnisku Baraias w Madrycie...

Józef Cypel
Fot. Władysław Jabłoński
i Józef Trzionka

5. Minęliśmy już Pireneje i wlecieliśmy nad terytorium Hiszpanii. Samolot obniżył swój lot, widać już przedmieścia Madrytu i za chwilę będziemy lądować na lotnisku Baraias w Madrycie

5

3	5	4	7	9	3	4	9	5	7	3	8
2	7	5	1	5	7	1	2	7	5	1	2
5	4	1	9	4	8	5	9	6	1	8	9
1	5	4	2	1	5	9	5	6	8	2	5
9	1	8	3	2	8	3	1	6	5	7	9
5	4	3	1	9	4	5	9	6	6	6	4
1	9	5	2	1	2	1	3	7	2	7	1
8	3	1	8	2	9	5	1	9	2	1	2

Rozwiązanie naszego konkursu

JESZCZE RAZ O ŁAMIGŁÓWCE JURIJA GAGARINA

Kiedy przedstawiałem czytelnikom „Płomyczka" (nr 8 br.) pomysłową łamigłówkę, którą przed laty otrzymałem w Moskwie od pierwszego kosmonauty świata, nie przypuszczałem, że ona Was tak zainteresuje. Pan listonosz przydźwigał do redakcji ogromny wór pełny listów i pocztówek z Waszymi rozwiązaniami. Jak się okazało, większość z Was poradziła sobie znakomicie z kosmiczną łamigłówką. Znaleźliście nie tylko rozwiązanie Jurija Gagarina (które, przyznaję otwarcie, ociupinę Wam podpowiedziałem przy pomocy rzymskich liczb), ale i mnóstwo innych, także prawidłowych. Kilka z nich pokazuję dziś na rysunku (tym zaś czytelnikom, którzy zagadki nie pamiętają, przypominam, iż w tabelce należało znaleźć sześć pól sąsiadujących ze sobą — czyli dotykających się wzajemnie co najmniej jednym bokiem — ale tak, by składały się na liczbę 50). Popatrzcie zatem na siedem różnych rozwiązań (niestety, więcej na rysunku się nie zmieściło). Oto one:

35+2+7+5+1 = 50, 5+12+8+25 = 50, 4+1+5+9+31 = 50, 32+3+1+9+5 = 50, 21+18+2+9 = 50. I wreszcie najbardziej pomysłowe rozwiązanie Jurija Gagarina: sześć pól z cyframi 6 tworzyło literę L, która wszakże jest rzymską liczbą 50.

Pomiędzy czytelników, którzy prawidłowo rozwiązali łamigłówkę pierwszego kosmonauty świata, rozlosowaliśmy książki o Hodży Nasreddinie ze specjalną dedykacją autora. Wylosowali je: **Joanna Sendecka** z Bochni, **Małgorzata Magdziak** z Brzykowa, **Aneta Więcek** z Kędzierzyna-Koźla, **Anna Kubik** z Nysy, **Halina Dębiec** ze Zwolenia, **Arkadiusz Dawid** z Olsztyna, **Ania Winiecka** z Gorzowa Wielkopolskiego, **Krzysztof Tratkiewicz** z Warszawy, **Krzysztof Derela** z Tarnowa oraz **Agnieszka Górna** z Poznania.

Wszystkim miłośnikom łamigłówek za rozwiązywanie zagadki Jurija Gagarina serdecznie dziękuję i obiecuję kolejną łamigłówkową niespodziankę.

Zdzisław Nowak

DBAMY O ZDROWIE (4)

O doskonałości mleka

Wydaje mi się, że wiele z Was nie lubi mleka i zamiast niego woli wypić szklankę oranżady czy innego podobnego napoju. Takie postępowanie doprowadza do coraz częstszych wizyt u stomatologa. Brak mleka w codziennym jadłospisie jest jedną z przyczyn chorób kręgosłupa i zębów. Zapewne nie zdajecie sobie sprawy z tej zależności, bo jest ona subtelna i niewidoczna.

Obejrzyjmy więc szklankę mleka ze wszystkich stron i rozważmy funkcje, jakie ono spełnia w młodym, rosnącym i rozwijającym się organizmie.

Otóż mleko jest napojem tak doskonałym i dopasowanym do potrzeb ludzkiego organizmu, że nowo narodzone dziecko, żywiąc się jedynie mlekiem w pierwszych miesiącach życia, może rosnąć i rozwijać się prawidłowo. Stąd wniosek, że w mleku znajdują się wszystkie składniki potrzebne do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Mleko i produkty mleczne dostarczają nam białka, tłuszczu, cukru, zwanego laktozą, witamin, prócz witaminy C, której jest w mleku bardzo mało, oraz wapnia, fosforu, potasu, sodu i wielu innych elementów, które nazywamy składnikami mineralnymi, a które Wy poznajecie ucząc się chemii. Mleko i sery są tymi wyjątkowymi produktami, które dostarczają najwięcej wapnia. Dlatego mleka i serów nie może zastąpić żaden inny produkt, ani mięso, ani jaja, ani ryby, ani pieczywo czy ziemniaki.

Dlaczego zwracamy szczególną uwagę na wapń? Odpowiedź brzmi „jest on niezbędnie potrzebny do budowy kości". Dzieci spożywające zbyt mało mleka i serów lub w ogóle nie jadające tych produktów cierpią na choroby zębów i kośćca. Pomyślcie więc o swoim zdrowiu i wyglądzie. Organizm Wasz potrzebuje na dobę tyle wapnia, ile znajduje się w czterech szklankach mleka. Smakoszy mleka ta ilość nie przeraża, gorzej jest z tymi, którzy twierdzą, że mleka nie lubią. I na to znajdzie się rada. Mleko można pić pod różnymi postaciami, na gorąco — kakao, kawa, na zimno — kefir, jogurt, mleko kwaszone, koktajle mleczno-owocowe. Można też z mleka przyrządzić budyń, galaretkę, zupy mleczne i inne potrawy, w których skład wchodzi mleko lub ser. Dwie szklanki mleka można zastąpić serem. Szklankę mleka zastępuje pod względem zawartości wapnia ok. 300 g sera twarogowego, 30 g sera dojrzewającego (żółtego) i 40 g sera topionego.

Poproście mamę, żeby z Waszą pomocą przygotowała smaczną potrawę z mleka lub sera. Polubicie mleko i sery. Spróbujcie.

Krystyna Tarnowska
Fot. J. Pokorski

PAPUŻKI FALISTE (6)

Według ornitologów, na świecie żyje 316 gatunków papug. Ich ojczyzną są tropikalne rejony Australii, Ameryki Południowej, trochę mniej jest ich w Afryce i w Azji.

Pierwsze papużki faliste zostały przywiezione z Australii do Europy ok. 1840 roku. Cieszyły się dużym powodzeniem, gdyż są inteligentnymi stworzeniami, szybko przywiązującymi się do swych opiekunów, mają wesołe usposobienie, piękne upierzenie, a niektóre z nich mają zdolność zabawnego naśladowania mowy ludzkiej.

UBARWIENIE. Papużki żyjące na wolności w Australii mają kolor jasnozielony. Od upierzenia papużek wzięła się ich nazwa: faliste. Na tylnej części głowy, na karku i na grzbiecie na żółtym tle mają papużki ciemne, prawie czarne, faliste poprzeczne paski, im dalej od głowy — występujące w coraz większych odstępach. Takimi falistymi paskami pokryta jest również górna, zielonożółta część skrzydeł oraz grzbiet.

Młode ptaki mają takie samo ubarwienie jak ich rodzice, ale kolory piór są bardziej pastelowe.

Papużki w innych kolorach — niebieskie, żółte, białe, szare — wyhodowane zostały przez przeprowadzanie selekcji i przeznaczanie do hodowli ptaków o podobnych cechach.

JAK ODRÓŻNIĆ SAMICZKĘ OD SAMCZYKA? Samiec i samica papużki falistej są ubarwione prawie identycznie. Płeć papużek rozróżnić można tylko po kolorze mięsistej części nasady dzioba. U samca ma ona kolor ciemnozielony lub ciemnoniebieski do granatowego włącznie. Samiczka tę część dzioba ma jasną, o kolorze wyblakłej zieleni, przechodzącym w żółtoszary i jasnobrązowy. U młodych papużek płeć można odróżnić dopiero po 6 miesiącach od chwili wyklucia się z jajka.

JAKĄ PAPUŻKĘ KUPIĆ? To zależy od celu, jaki chcecie osiągnąć. Jeśli chcecie nauczyć papużkę różnych sztuczek, a nawet mówienia, wystarczy jedna papużka. Najlepiej nadaje się do tego samczyk w wieku 21—23 dni. Wtedy, poświęcając mu dużo czasu, możecie liczyć na pozytywne wyniki nauki. Nie wolno wam jednak zapominać o tym, że papużce nie wystarczą zabawy, trzeba o nią dbać, karmić ją odpowiednio i czyścić jej klatkę.

Kupując parkę papużek (oczywiście różnej płci) zakładacie już jakby małą hodowlę. Po roku od chwili zakupienia ptaszków można spodziewać się pierwszych lęgów i przychówku. Oczywiście, jeśli papużki przypadną sobie do gustu.

Fot. Roman Kamiński

Fot. Stefan Rutkowski

Można też kupić kilka papużek dla obserwacji ich zachowania — wtedy trzeba trzymać je w odpowiednim pomieszczeniu, lub w dużej klatce — wolierze, zbudowanej na stałe w ogrodzie.

KLATKI. Trzeba wiedzieć, że papużki faliste są ptakami bardzo ruchliwymi i potrzebują dużo przestrzeni. Klatka dla nich powinna mieć wymiary: długość 60 cm, wysokość 70 cm i szerokość 50 cm. W zbyt małej klatce papużki szybko obrastają w tłuszcz, są nieruchawe i trudno się rozmnażają.

Obudowa klatki powinna być wykonana z metalu, gdyż drewniane klatki papużki niszczą swoimi mocnymi dziobami. Ponieważ ptaki te lubią się wspinać — najlepsze będą klatki wykonane z drutu lub drobnej siatki drucianej. Taki papuzi domek powinien być ustawiony na ścianie oświetlonej przez słońce, ale część klatki musi być zacieniona. Na podłogę klatki nasypuje się piasku zmieszanego ze specjalnie spreparowanym zwietrzałym wapnem gaszonym (można tę mieszankę kupić w każdym sklepie zoologicznym).

W klatce należy umieścić kilka żerdek różnej grubości, żeby papużki mogły gimnastykować swoje kończyny chwytne. Zróżnicowana średnica żerdek 11—15 mm zapobiega tworzeniu się na nogach papużek odcisków.

GNIAZDA. Jeśli macie w domu dwie papużki, które mogą się rozmnażać, trzeba przygotować im w klatce gniazda — nazywane kadłubkami. Dla jednej pary papużek muszą być dwa, gdyż jeszcze zanim młode opuszczą gniazdo, samica może składać następne jajeczka.

Kadłubki zrobić trzeba z drewna. Mogą być stojące o wymiarach: wysokość 25 cm, głębokość 17 cm, szerokość 17 cm, lub leżące — długość 25 cm, szer. 18 cm i wys. 20 cm. Jak mają wyglądać — obejrzyjcie na rysunkach. Każdy kadłubek powinien mieć małe zagłębienie na jajeczka. Wtedy łatwiej będzie samiczce je wysiadywać. Na dnie tego zagłębienia powinno być trochę trocin.

POKARM. Żeby papużki miały piękne upierzenie i czuły się dobrze, trzeba je odpowiednio odżywiać. Papużki są ziarnojadami, powinny więc mieć zawsze w klatce, w specjalnym naczyniu — wodę i pokarm, dobre proso. Poza tym ziarna traw, całe kłosy prosa i owsa na wpół dojrzałe, gdyż papużki bardzo lubią same wyłuskiwać z nich ziarno. Jedzą też płatki owsiane, kanar — tak jak kanarki, mieszanki jajeczne (przepis w książce Kazimierza Jankowskiego „Papużki faliste"), koniecznie zieleninę — np. sałatę, szpinak, listki dmuchawca, pączki wierzby i gałązki jodłowe, kawałki jabłka, tartą marchewkę itp.

Papużki powinny mieć stale do dyspozycji wapno, najlepiej w postaci potłuczonych skorupek z gotowanych jaj kurzych, potłuczonych muszelek i kawałków kredy. Muszą mieć też gruboziarnisty piasek rzeczny lub morski i inne składniki mineralne. Od czasu do czasu do pokarmu miękkiego należy dodać trochę Vibovitu lub Vigantolu, ewentualnie tranu.

NAUKA „MÓWIENIA". Najlepiej nadaje się do tego młody samczyk, który po 21 dniach życia został odstawiony od rodziców. Od tej pory trzeba nad papużką przejąć całkowitą opiekę. Karmić ją, dużo do niej mówić. Trzeba nadać papużce imię i często je powtarzać. Może to być pierwsze słowo, które po jakimś czasie papużka wymówi.

Mówiąc do papużki należy się zbliżyć do klatki i mówić normalnie, nie cicho i nie głośno. Kiedy nauczy się już jednego wyrazu, przystępuje się do wymawiania następnego.

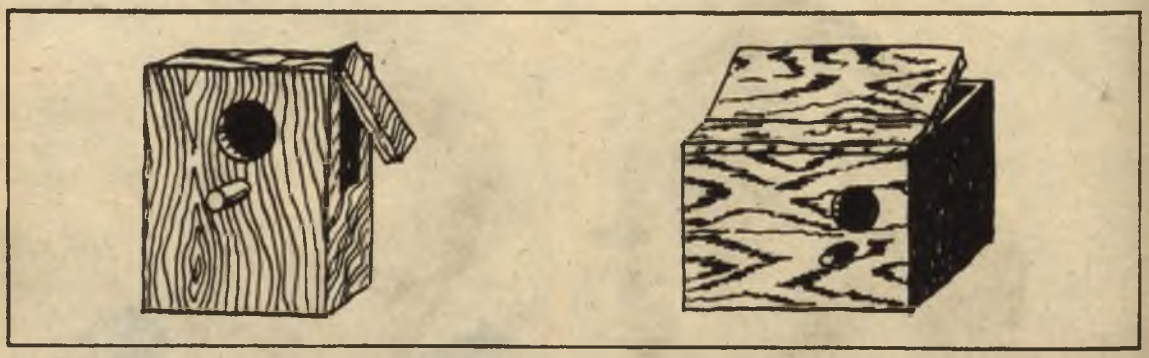

Przemawiając do ptaka można również trzymać go w ręce. Najlepiej czynić to o zmierzchu, gdyż wtedy osiąga się najlepsze rezultaty. Trzeba jednak wiedzieć, że nie wszystkie papużki faliste mogą nauczyć się naśladowania ludzkiej mowy. Ale spróbować warto.

Opracowała Maria Czernik

W cyklu „Zwierzęta w domu" pisaliśmy w ubiegłym roku o kocie (nr 5), o chomiku (nr 11) i o psie (nr 17). W tym roku o kanarkach (nr 3) i o rybkach (nr 9).

Iki-at-jok

Dawno temu żył sobie na świecie pewien bogaty baj. Owiec i koni miał tyle, że nie umiał ich nawet zliczyć. Ale wszyscy wiemy, że im człowiek bogatszy, tym bardziej skąpy. Baj surowo karał pasterzy, którzy gubili bydło. — Głos Czary-agi szemrze jak potok. Przyjemnie się słucha. — Nieszczęścia prześladują biednych ludzi.

Pewnego razu stadniczy pojechał do aułu, a z tabunem pozostawił syna. Chłopiec pasł konie zaledwie jeden dzień, a przez ten czas dwa zagubiły się na stepie.

Przybiegł do baja, padł przed nim na kolana i jęczy:

— Nie ma koni! Nie ma dwóch koni!

— Idź i znaleź je! — wykrzyknął baj. — A jak nie, to powąchasz moją kamczę. A wiesz, jak wygląda moja kamcza?

Kamcza baja był to gruby rzemień, miał wplecione żelazne haczyki. Podobny był do zębatej paszczy wilka.

Chłopiec pobiegł w step. Szukał długo, lecz nie odnalazł koni. Wdrapał się na wysoki pagórek i zaczął błagać:

— O, gdyby wyrosły mi skrzydła! Wtedy odszukałbym konie i powróciłbym do ojca i do matki, do rodzinnego aułu.

Widocznie powiedział to w odpowiedniej chwili, bo skrzydła rzeczywiście natychmiast mu wyrosły. Poleciał nad wzgórzami, nad górami. Wyrosły mu skrzydła jastrzębie i wszystkie ptaki omijały go. Mimo poszukiwań, zagubionych koni nie udało mu się odnaleźć.

— Iki-at-jok! Iki-at-jok! — krzyczał w rozpaczy.

Tak go też przezwano — iki at jok, co po turkmeńsku oznacza: „kukułka".

Ikiatjok nie wije gniazda, nie wysiaduje piskląt: nie ma na to czasu, musi szukać koni. Jaja ikiatjok podrzuca do cudzych gniazd, a jej pisklęta, kiedy porosną pierzem, odlatują od obcych rodziców w poszukiwaniu zaginionych koni. Szukają, ale znaleźć nie mogą.

Kajum Tangrykulijew
Z rosyjskiego przełożył Marek Dzierwajłło
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

(4)

MOTYLE BEZ SKRZYDEŁ

Przeciętny obserwator przyrody ma o motylach ustalone pojęcie, że są to owady, którym natura dała dwie pary służących do latania skrzydeł oraz trzy pary nóg, którymi motyl może utrzymać się na kwiatach, liściach czy korze drzew. Są jednak gatunki, należące do grupy motyli nocnych, prowadzące niekiedy dzienny tryb życia, których skrzydła są albo w zaniku, lub też tak małe, że nie mogą spełniać normalnych funkcji latania. Należy do nich znamionówka tarniówka — Orgyia antiqua L.

Rozwój tego motyla nie różni się wcale od

przeciętnie znanego. Z przezimowanych jajeczek wylęgają się owłosione gąsieniczki, unoszone przez wiatr, szybko biegające i łatwo znajdujące pokarm, tym bardziej że są to owady wielożerne. Jedzą liście różnych drzew i krzewów liściastych. Występują niekiedy licznie i wtedy mogą być uznane za szkodniki. Po wyrośnięciu i zakończeniu żerowania budują półprzezroczyste oprzędy, przez które szczególnie pod światło widoczne są poczwarki. Motyle wykluwają się po kilku lub kilkunastu dniach w zależności od temperatury otoczenia. Samczyk jest normalnie uskrzydlony i zdolny do lotu, samiczka natomiast ma maleńkie, ledwo widoczne skrzydełka i po wyjściu z kokonu siedzi na jego powierzchni nieruchomo, oczekując na pojawienie się samczyka. Jeśli z jakiegoś powodu nie doczeka się jego przylotu, składa niewielką część nie zapłodnionych jajeczek, pada na ziemię i ginie. W odróżnieniu od wielu innych gatunków nóżki jej są tak słabe, że nie mogą służyć jej do chodzenia, a jedynie do niewielkiego przesuwania ciała przy składaniu jaj na kokonie. W ciągu roku ukazują się dwa pokolenia tego gatunku.

Na fotografiach pokazana jest gąsienica w dwu ujęciach, kokon ze świeżo wyklutą samiczką, kokon ze złożem jaj (w obu przypadkach widoczne są w kokonach skórki poczwarek) oraz samczyk.

Jerzy Heintze
Fot. Stefan Rutkowski

W poprzednim artykule z tej serii („Płomyczek" nr 6) wkradły się dwie nieścisłości redakcyjne: ze zdania „jako małe gąsieniczki wykluwające się w jajach" należy wykreślić „wykluwające się w jajach" oraz ze zdania „Motyle prawie nie pobierają pokarmu" — słowo „prawie".

KWADRAT MAGICZNY

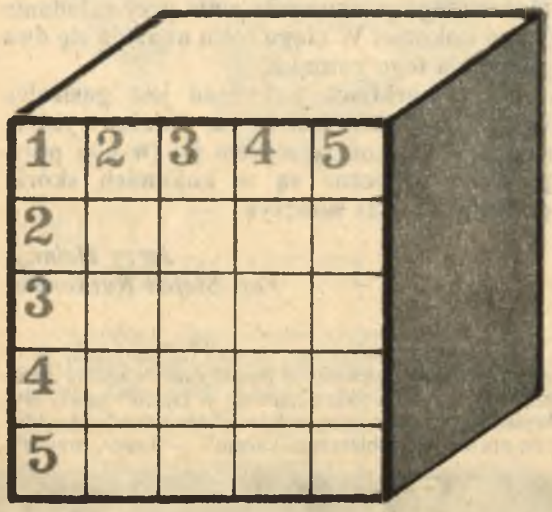

Do podanej figury wpiszcie 5 wyrazów pięcioliterowych o podanych niżej znaczeniach tak, aby je można było czytać jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1. strażacki drąg z hakiem, 2. sceniczny dramat z ariami, 3. rasa psa z długimi uszami, 4. jest w środku cyrku, 5. ryba słodkowodna.

J. S.

Krzyżówka

Do kratek figury wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 3. kupujesz w sklepie, 5. kwiat w powijakach, 6. ugasi go straż,

Pionowo: 1. miasto na Wybrzeżu, 2. pożywny napój, 4. brat żmii.

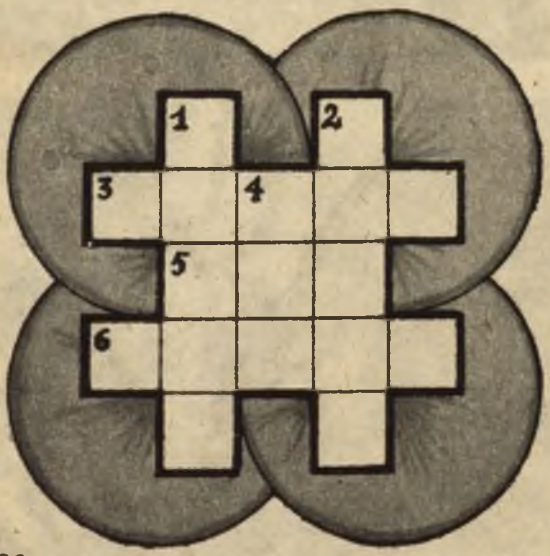

Zagadka wcale nie jest łatwa, jak się wydaje. Trzeba dobrze wytężyć wzrok, aby znaleźć jedyną właściwą drogę od jednej z cyferek aż do wylotu. Może pomożecie sobie prowadząc linię ołówkiem?

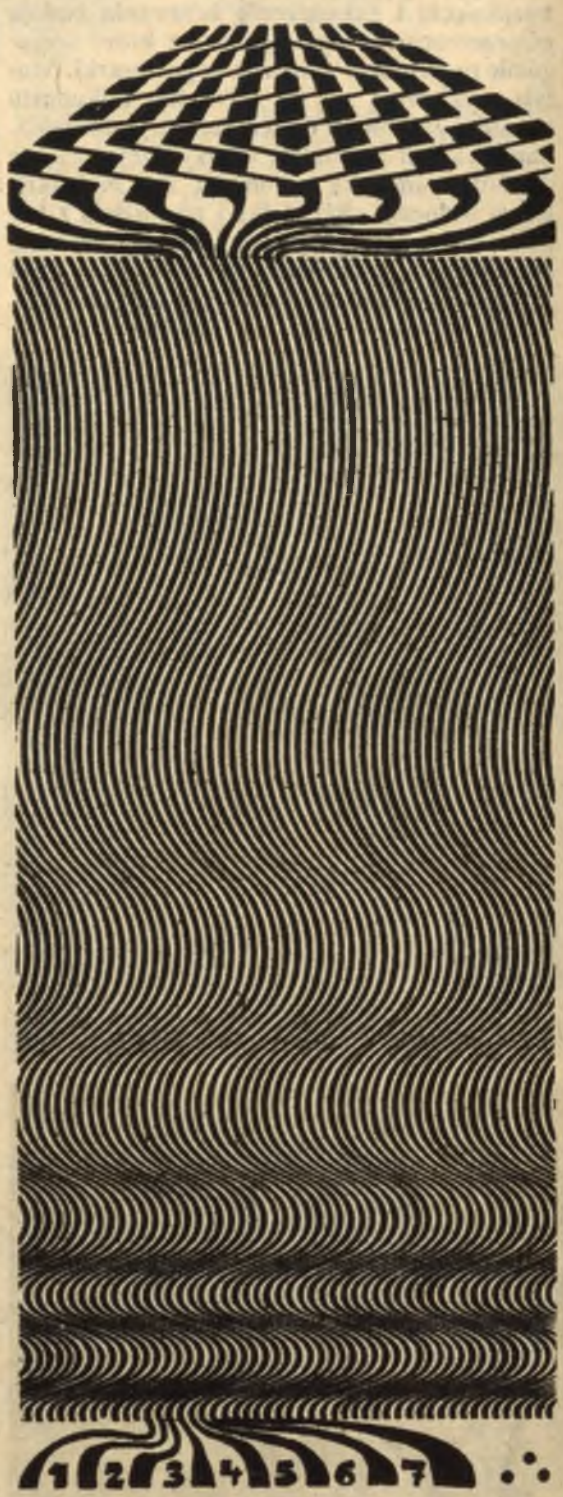

NASZ ZWIERZYNIEC

PIRANGA SZKARŁATNA

Tangary, do których należy piranga szkarłatna, to ogromnie liczna rodzina 222 gatunków kolorowych ptaków zamieszkujących kontynenty obu Ameryk. Ich niewielkie rozmiary (długość ciała do 15 cm) i upierzenie maskujące w otoczeniu — pozwalają im bezpiecznie żyć w gorących, tropikalnych obszarach w różnych środowiskach.

Tangary są podobne do zięb i kacyków. Mimo grubych u podstawy dziobów, ptaki te nie rozłupują twardych owoców jak łuszczaki. Żywią się miękkimi nasionami i owocami, a niekiedy owadami. U przeważającej liczby ptaków w okresie godowym stroją się tylko samce, u tangar także samiczki. Budują gniazda w postaci koszyczków zawieszonych na krzewach lub na wysokich drzewach. Niektóre gatunki z tej rodziny zamieszkują tereny skaliste gnieżdżąc się w szczelinach, rozpadlinach, a nawet norach. Budują w nich zasklepione gniazda. Najbarwniej upierzona jest tangara wspaniała. W kolorycie jej piór doszukać się można barwy czarnej, piaskowej, zielononiebieskiej, srebrzystoniebieskiej, purpurowej i pomarańczowej. Żyje w Brazylii, Argentynie i w Paragwaju. Piękna jest również tangara seledynowa, a także antyla i wiele innych, dla których nie ma jeszcze nazw w naszym słowniku ornitologicznym. Na uwagę zasługuje sai bladogłowy odżywiający się wyjątkowo nektarem, który wysysa z kwiatów przekłuwając ich kielichy jak igłą lekarską długim, lekko zagiętym w dół dziobem. Podobnie jak koliber zjada też spotkane w kielichach kwiatów owady. Piranga szkarłatna żyje w Ameryce Północnej. W jej szacie dominuje kolor czerwony i czarny. Podobnie jak sai białogłowy, po okresie godowym ptak staje się szary, niepozorny jak nasz wróbel.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Joanna Kusek

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4, skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 180 zł,
półrocznie — 360 zł,
rocznie — 720 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (redaktor graficzny), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zdzisław Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.

Nakład 430 370 egz.
Zam. 3341/87 D-23
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

PIRANGA SZKARŁATNA

Fot. Michał Wlaziński

CENA 25 ZŁ